



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

PÓJDŹ DO MNIE....!

Pójdź do mnie: połóż mi ręce na czole;
Niech na twych ustach błysnie uśmiech złoty,
Niech w nim się wszystkie odzwierciedlą bóle,
Wszystkie pragnienia twoje i tęsknoty!

Pójdź do mnie: jednym czarodziejskiem słowem
Zbudź mego ducha, co w omdleniu kona,
Owiany ciężkim powietrzem grobowem;
Zbudź go, jak martwy głaz Pigmaliона!

Nie dziw się, siostrzo: wszak są czasem chwile,
Gdy duch, na widok umarłej nadziei,
Cofa się z życia codziennej kolei
I rad-by zasnąć na długo w mogile.

Nie dziw się, siostrzo, nie dziw się, jeżeli
Pod tchnieniem życia zabraknie zapachu,
Gdy duch swe myśli i czucia spopieli,
Pragnąc widomych wcieleń ideału.

Gdy coraz nowych cierpień bije fala,
Wybacz, gdy wówczas on zamknie się w sobie,
Gdy chciałby przeżyć wiek od ludzi zdala
I w takiej ciszy, jaka gości w grobie.

Tak koncha morska zwija się w skorupie,
Gdy dłoń tyrańska silny cios jej zada,
W głębiny morza natychmiast zapada
I tam samotna pędzi życie trupie.

Lecz takim życiem żyć—to hańba może....
Pójdź do mnie! w wielkiej cierpienia godzinie
Niech na twych dłoniach moje dłonie złożę,
Niech twoja siła w moje piersi wpłynie.

Nie zawsze człowiek może znaleźć tyle
W sobie potrzebnej do zwycięstwa siły,
Ażeby przeżyć strasznej burzy chwile,
W której się piersi jego rozkrwawiły.

Wówczas on nieraz nad sobą łzy roni,
Lecz, aby powstać i walczyć nanowo,
Szuka przyjaznej wkoło siebie dłoni.
Pragnie usłyszeć ciche, bratnie słowo

Przyjdź więc i połóż mi rękę na czole:
Niech znowu duch mój do życia się zbudzi;
Niech znowu skrzydła rozwinie sokole;
Niech znowu wierzę w miłość, w niebo, w ludzi....

J. Nitowski.

POGA WĘDKA.

Minęły piękne dni „Aranjuezu”—minął letni karnawał; wszystko, niestety, przemija...

Skończyła się wystawa, na której, według mego przewidywania, najciekawszym okazem inwentarza... elektrycznego, była kolej, wożąca bez lokomotywy ludzi „niewiedzących, co zrobić z dyskami,”—jak się dowcipnie wyraził zawsze dowcipny *Kur. Świąteczny*.

Skończyły się wyścigi na mokotowskim torze, na którym piętnastu właściciele stadnin wzięło 61 nagród, w ogólnej kwocie 30.747 rs. 25 kop.,

a między nimi aż jedenaście przypadło w tym roku dla pana L. Grabowskiego.

Koni 35 popisowało się szybkością swoich pedałów; sportsmeni nasi utrzymują, że tegoroczny sezon należał do interesujących a wszyscy ci, co sportsmenów udają—żałują, iż tylko dni sześć trwały wyścigi. Mogłyby trwać dłużej, gdyby towarzystwo miało więcej pieniędzy do rozdania na nagrody, ale i tak wydaje więcej, niż dzisiejszy stan funduszków pozwala.

Sprawozdawcy zauważyli, (sprawozdawcom trzeba wierzyć), że zamiłowanie do sportu wzrosło, nietylko w naszym *high-lifie*, ale i w szerokich kołach publiczności, która tłumnie śpieszyła na pole wyścigowe.

Totalizator był w obłężeniu, a podobno pleć piękna w tym roku szczególnie puszczała się na hazard i prowadziła tę szulerkę z namietnością niezwykłą, „splukując się“ z rubelków przy każdym biegu.

I powiedzieć, że się nasze damy nie emancypują, że się niczego nie uczą i nie postępują!... przecież grają już na toto-demoralizatorze i zaczynają się znać na koniach szlachetnej rasy, chociaż wiele z nich nie potrafiłoby może powiedzieć, jakiej maści są „ich faworyci.“

Nie wiem, czy zamiłowanie do sportu na prawdę wzrosło wśród naszej publiczności, ale tak chyba przypuszczać musi Towarzystwo wyścigów konnych, skoro postanowiło na rok przyszły podnieść ceny biletów wejścia i miejsc w lożach i na trybunie.

Odtąd ta sensacyjna przyjemność, ta „zabawa lordów“ kosztować ma trzy rubelki od osoby, a zatem podwójnie drożej, a z kosztami lokomotywy na miejsce i z powrotem, nawet trzy razy więcej, niż bilet na operę lub na komedię.

I znajdą się tacy, którzy zapłacą bez szemrania, aby potem narzekać, że nie mają pieniędzy na chodzenie do teatru, kupienie nowej książki, lub zaprenumerowanie dziennika,

Zdaje mi się, że się starzeję i zrzedzić zaczynam, a co gorsza—powtarzam się; ileż ja to już razy pisałem, a pisałem inni przede mną i po mnie pisać będą!... plewa rzucona na wiatr i morały dziennikarskie—to jedno.

Postanowiłem sobie nie moralizować nikogo i trzymać się tylko samych faktów w moich felietonach, ale mam widocznie stare i znarowione pióro, które zbacza z wytkniętej drogi do spichrza sto razy wymłóconych i zmielonych tematów.

Na szczęście, w tym czasie ujdzie mi to jakoś, bo pogawędki moje coraz więcej nabierają cechy monologów; coraz częściej przyjdzie mi teraz rozmawiać z samym sobą na tem miejscu, z bardzo prostej przyczyny, że najlaskawszym moim czytelnikom przyjemniejszym wyda się szmer liścia i szept wiatru od skoszonej łąki na zamiejskich przechadzkach lub na willegiaturze, niż najpiękniejsze frazesy felietonisty.

Zapach świeżego druku nie wytrzymuje rywalizacji z zapachem polnych kwiatów i daje słowo, nie dziwię się wam wcale, jeżeli, zamiast czytać moje pogawędki, wolicie czytać w otwartej księdze przyrody, która teraz najpiękniejsze swe karty przed wami rozkłada.

Doczekaliśmy się wreszcie pogody, mamy to miłościwe lato, z całą krasą, z całym jego urokiem, z tą rozkoszną mieszaniną poezji i prozy, słowików i kurcząt, róż i młodych kartofli, marzeń w cieniu i senności na słońcu.

Na grobie letniego karnawału położyliśmy już i „Wianki“; możemy teraz śmiało porzucić bruk miejski, podziurawiony kretowiskami wodociągów i kanalizacji, i pożegnać się z Warszawą, na którą z kolei zapadną nudy ogórkowego sezonu i wszystkie utrapienia kanikuły.

Towarzystwo wioślarskie pocziwają ofiarę złożyło znowu „Macierzyństwu“, urządzając na korzyść tej instytucji doroczny obchód wili św. Jana.

Wisła, jak kameleon mieniła się wszystkimi kolorami ogni sztucznych, świateł elektrycznych, beczek smolnych i transparentów; tysiączne tłumy mrowiem obsiadły most i brzegi, ogniste racie leciały ku gwiazdom, a gwiazdy spadały w wodę i migotały na dnie Wisły i na stropie nieba, cała flotyła łodzi, bark i statków szybowała po falach; płynęły pieśni „Lutni“ i dźwięki orkiestry, a temu wszystkiemu przypatrywał się pyzaty księżyc z góry i z lekceważeniem spoglądał na elektryczne słońca...

Dziwnego podobieństwa dopatrzyłem się między nim a twarzą najmniejszego z liliputów, których aż dziewięć idzie na jeden korec dramatycznej trupy, goszczącej na scenie naszego teatru wielkiego, a złożonej z samych karłów.

Natura pozwala sobie czasem na takie niepocziwe psoty i stwarza ludzi w skróceniu, pomniejszone edycje człowieka, jakieś żywe laleczki, homunculusy, które są ofiarą jej dobrego humoru, czy złośliwości.

Jakiś pomysłowy impresario wpadł na concept zebrania całej kolekcji takich maleństw i wyczenia ich sztuki aktorskiej; przed sześciu laty złożył trupę liliputów z pięciu mężczyzn i czterech kobiet, postarał się dla nich o specjalny repertoar, zastosowany do ich rozmiarów, posprawił im piękne kostiumy i w otoczeniu dorosłych artystów to niedorosłe gronko zaczął obwozić po świecie.

Najstarszy komik, który mógłby uchodzić śmiało za gнома i ukryć się pod liściem łopuchu, liczy lat czterdzieści i trzy; najmłodszy ma dopiero wiosen osmańście (ten z twarzą księżycową właśnie), ale spowinięty w poduszkę ludzając udawał dziecko jeszcze nie odkarmione.

Perłą, nie—perełką, paciorkiem w tym karlim różańcu jest młoda Szlązaczka, Zylma Goernerówna, primadonna trupy; gdyby była przynajmniej trzy razy większą, niż jest, z tym samym talentem i temperamentem scenicznym, byłaby niezawodnie gwiazdą jakiejś stołecznej sceny.

Ruchliwe to, jak żywe srebro, wesołe jak wiewiórka, wyborny typ subretki, nieustannie uśmiechniętej i błyskającej sprytnymi oczkami z kokieterią pierwszej naiwnej; a gdyby była jeszcze trochę mniejszą, możnaby ją pomiędzy bibelota-

mi z porcelany lub biskitu postawić na serwantee.

Karzelki grają, jak skończeni artyści, z werwą i humorem, z rutyną doświadczonych aktorów, a w sztuce znalazłszy niespodzianie dla siebie cel życia i podporę swej exystencji, pokochali ją większą miłością od niejednego z kolegów „pełnej miary.“

Przyznaję się, zem z nieudaną sympatją patrzył na te biedne miniaturowe ludzkie przez współczucie dla istot upośledzonych, z których zadrwiła natura i obeszała się z niemi pomacoszemu, dając im talent i intelligencją, równając ich pod względem umysłowym z normalnymi ludźmi, a czyniąc ich jednocześnie karykaturą człowieka.

— Czy panu nie przykro patrzeć na wyższych od siebie? — spytałem najmniejszego z liliputów za kulisami w antrakcie sztuki; uśmiechnął się złośliwie, wzruszył ramionami i odrzekł:

— Bynajmniej, nie potrzebuję się zniżać do nikogo i mam prawo po świecie chodzić zawsze z zadartym nosem, bez narażenia się na zarzut zarozumiałości.

Płeć piękna, przeciwnie drażliwszą jest na punkcie swego wzrostu; ktoś powiedział komplement najładniejszej i najzgrabniejszej z liliputek trupy, chwając jej wdzięk i kształtność. Posmutniała w jednej chwili, wydeła usteczka i z westchnieniem odparła:

— Co mi z tego!... jestem za mała na kobietę.

— A wolałabyś pani być dużą i brzydką? — spytałem, mieszając się do rozmowy.

— O nie!—zaprzeczyła natychmiast—gdybym była dużą, chciałabym być bardzo ładną; brzydkie kobiety nie mają co robić na świecie.

Pokazuje się, że niema tak małej córeczki Ewy, aby w niej nie zmieściła się duża doza.. próżności.

Przedstawienia karłów odbywały się na wielkiej scenie; uważano to za rzecz nie właściwą, aby ta widownia służyła za miejsce popisu dla „dziwolągów.“

Być może; jednak na deskach naszej Melpomeny widzujemy dość często teraz dziwactwa i lilipucie występy talentów w innym rodzaju; patrzeć musimy na karłów i karlice, udających autorów i autorki.

Nie chcę być zgryźliwym Zoilem i dlatego zamilczę o nowościach naszego repertoaru...

To dziwna, że reżyssery dramatu i komedii nie umie sobie radzić w kłopotcie wynajdowania dobrych sztuk i wprowadzania ich z pożytkiem na scenę, a teatryki ogródkowe w trudniejszych warunkach wyprzedzają pod tym względem „Rozmaitości.“

Pan Tatarkiewicz pije obecnie wody karlsbadzkie u samego źródła, więc nie należy go irytować, ale choć mu podobno żołądek zepsuła prassa, dość mu jeszcze widocznie strawności zostało, skoro może strawić wszystkie poronione sztuki, jakie w ostatnich czasach wystawił.

A jednak nie brakłoby mu, przy lepszym wyborze, materiału na repertoar trwalszy i godniejszy pierwszej polskiej sceny w Warszawie

W „Wodewilu“ np., zamiast w Rozmaitości, poznałem najnowszą komedią Edwarda Pailleron'a p. t. „Myszka“ (*La souris*). Mało sztuk w ostatnich czasach sprawiło mi tyle przyjemności, co ten trzyaktowy utwór francuzkiego autora, który należy do zaszczytnych wyjątków wśród nadsekwańskich dramaturgów dzisiejszej doby.

Alexander Dumas podczas pierwszego przedstawienia „Myszki“ w *Comédie française*, miał złośliwie powiedzieć, tłumiąc ziewanie:

— Co to za szczęśliwy autor z tego Pailleron'a!... jednego wieczoru wystawia dwie swoje sztuki: na scenie: „Myszkę“, a w sali „Świat nudów.“

Ten kostyczny dowcip Dumasa utwierdził mnie w przekonaniu, że nietylko u nas, ale i we Francji najzłośliwszymi krytykami są... kolledzy po piórze.

Autorowi „Damy kameliowej“ nie mogła się podobać komedia w tym rodzaju, jak „Myszka“, w której niema wiarołomstwa, niema sofizmatów, niema drażliwych sytuacji i bardzo ślizkich kwestyi moralno - społecznych do rozwiązania; jest w niej tylko świeże, niewinne uczucie młodziut-

kiej dziewczyny, która, wyszedłszy wprost z pensyi, spotyka mężczyznę psutego przez kobiety we wszystkich salonach Paryża i odmładza go, odżywia duchowo swoją miłością uroczą w tej błogosławionej naiwności pierwszych drgnień serca.

Na subtelnym rysunku i cieniowaniu tytułowej figury polega całe mistrzostwo pióra Pailleron'a, który jest realistą w obserwacji, a poetą w artyzmie swoim.

Umie on mówić jeszcze o miłości na scenie językiem serca, a nie nerwów i krwi wzburzonej, umie być psychologiem, nie fizjologiem, uczucia i dlatego szlachetniej przemawia do duszy, nie do zmysłów publiczności, która się jeszcze nie nudzi w teatrze, gdy jej każą patrzeć na czyste temata w komedii...

„Myszka“ nie jest myszą polną, więc w ogródku było jej swojsko, ale mimo to główne role dawały pojęcie o wartości sztuki, która w lepszej obsadzie, w grze cieniowanej należycie i w prawdziwie salonowej atmosferze innej sceny powinna mieć u nas powodzenie niepospolite.

Teatrykom ogródkowym plon z konkursu *Echa* nie na wiele się przyda już w tym sezonie; jak przewidywałem z trzydziestu sztuk ubiegających się o nagrodę, żadna jej nie dostała. Odznaczono tylko zaszczytną wzmianką obraz sceniczny w pięciu aktach na tle życia klas robotniczych p. t. „Walka“, której autorem ukazał się p. Paweł Kościński, humorysta znany: pod pseudonymem „Paul de Coś.“

Znam sztukę z czytania, więc mi wolno powiedzieć o niej, nie przesadzając zdania krytyki fachowej, że ma dużo scenicznego efektu, dobrze podpatrzonych figur z natury i stosunków życiowych w tych sferach, w których akcja melodramatu się toczy.

Proletaryat warszawski występuje tu prawie odfotografowany.

„Walke“ zobaczyć mamy niebawem na scenie Alhambry, oile na te okoliczności pozwolą.

Sprawozdanie z konkursu *Echa* wyróżniło się pewną oryginalnością z tych wszystkich, które były, lub być miały po rozstrzygnięciu poprzednich konkursów dramatycznych: że o każdej sztuce z osobna wyraziło zdanie sędziowskiego aeropagu; zawiadzeni autorzy mają przynajmniej tę pociechę, że mogą wyczytać opinią krytyczną o swoich utworach i dowiedzieć się, w czem pobiłdzi przy ich podaniu.

To jednak smutny rezultat, aby na trzydzieści piór, ani jedno w twórczym rozmachu nie zdobyło nagrody. Pokazuje się, moi panowie, że napisanie nawet względnie dobrej sztuki na scenę nie jest tak łatwą sztuką!...

Sliczny powiedziałem aforyzm i zanotuję go sobie do jakiejś jednodniówki na zapas.

Szczęśliwiej udało się „Lutni“ z konkursem; dźwiękła złotemi dukatami i zwiabiła nie pojedynczego, ale podwójnego laureata w osobie p. Michała Hertza, któremu za „Wędrownego lirnika“ pierwszą, a za „Rolnika“ drugą przysądzono nagrodę.

Kompozytor „Gwarków“ jest tedy bogatszy o nowe laury sławy, o przyjemne wrażenia i, co najważniejsza w tych ciężkich czasach, o całych ośm dukatów w złocie. Spiewnik „Lutni“ zaś powiększył się dwoma nagrodzonymi kwartetami na głosy męzkie i czterema odznaczonymi.

Do odznaczonych utworów należy „Pieśń żołnierska“ i „Nokturn“ Pankiewiczza, jako też „Panienczka“ i „Kopciuszek“ St. Niewiadomskiego.

„Lutnia“ zatem ma szczęście, ma dzielnego dyrektora i świetnego prezesa, ma sympatją u publiczności, ma 75 członków śpiewających, a 493 słuchających, ma po roku istnienia około 3,000 rs. majątku wraz z inwentarzem złożonego, ma swoich laureatów i pojedynczych i dubeltowych—czegóż jej więcej potrzeba!...

Towarzystwo muzyczne ma w swoim rodzaju coś podobnego, ale chce mieć jeszcze konkursowe libretto do opery poważnej lub komicznej, osnutej na dowolnym temacie, kilkuaktowej i gotowe jest dać 200 rs. nagrody, zostawiając nadto prawo własności uwieńczonemu autorowi, byle do 1-go Grudnia b. r., stawił się koniecznie w szrankach.

ZYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Tysiące przykładów wykazuje wpływ matki na dzieci.

Fontainelle wyznawał, że umysłowe swe obdarowanie zawdzięczał matce, siostrze Corneille'a, której uczucia podobnie jak wielkiego poety, były podniosłe i przelewały się w syna, odrywając go od pospolitej rzeczywistości. Karolina Corday była córką drugiej siostry tego wielkiego dramaturga i ta życiem swoim wypisała w dziejach Francji tragedią okrutną. Matka Tocqueville'a była wnuczką Malherbes'a. Kant mówił niejednokrotnie, że po matce odziedziczył nieugiętą siłę moralnych swych przekonań. Wellington był bardzo podobnym do matki z twarzy i nie z twarzy tylko. Pisarz angielski, Gleig, który to wykazywał, pisze, że była to kobieta wielkiej siły charakteru i bystrości umysłu, gdy ojciec, hrabia na Moringtonie, zaznaczał się jedynie wielką miłością muzyki; jego piosenki są do dziś śpiewane w Anglii i cenione dla swego miłego wdzięku. Dzielny admirał Napier był synem szlachetnej, pięknej i bohaterkiej kobiety: lady Sary Lennox prawnuczki Karola II-go, która miała w sobie ostatnią kroplę krwi Stuartów. Cuvier był synem szlachetnej matki, która silnie obstawała przy tem, aby syn otrzymał wyższe wykształcenie. Rodzina była niebogatą, nawet ubogą; ojciec, dymisjonowany oficer na pół pensyi, nie mógł trzymać dla syna korrepetytorów i nauczycieli domowych, lecz zastępowała ich matka. Choć nie umiała po łacinie, kazała chłopcu wydawać przed sobą lekcye łacińskie, zadawane mu w szkole; uczyła go rysować, zachęcała do czytania dzieł historycznych, do poznania literatury i ona, według jego własnych zeznań, rozwinęła w nim zamiłowanie do nauki, które stało się później namiętnem. Ona zbudziła w nim tę ciekawość wiedzy żywego i nieżywego świata, będącą w nim jak pisać, „głównym motorem spraw życia.“ M-me de Sévigné przelała podobnie ducha i usposobienia swoje w dzieci, jak to wykazuje Sainte-Beuve w studyach swoich. Tak syn, jak córka, M-me de Grignan, byli pełni dowcipu, żywości umysłu i wdzięku towarzyskiego, a w córce wyższy jej rozum był podstawą godności i taktu, którym się zaznaczała.

Jest to niezaprzeczoną rysem w moralnym charakterze rodzin, że matka daje ton wychowaniu. Tam, gdzie matka jest dobrą i szlachetną, cnotliwą niewiastą, dziecko zawsze chowa się dobrze, choćby nawet ojciec był lekkomyślny, rozrzutny, a nawet pozbawiony zasad moralnych. Ma tu ona moc wpływu, którą przykład jej wywiera, a współdziałająca z tem siłą jej miłości, jej tkliwości dla dzieci, ocala je, bo oddając jej serca te młode, pozwala kierować niemi i nakazuje posłuszeństwo jej rozkazom i żądaniom. Ale tam, gdzie charakter matki jest złym, bardzo rzadko najuczciwszy, najlepszy nawet ojciec może zapobiedz temu, aby dzieci źle się nie wychowywały. Daremnie jest mówić, dowodzić im, że ofiara, szlachetnie poświęcenie siebie dla innych, lub dla idei, dla sprawy świętej, jest prawem dusz wzniosłych, że są na świecie rzeczy i interesa wyższe na zadowolenie swych chęci, nad używanie własne, jeżeli matka będzie im stawiać przed oczy przykład egoizmu, będzie objawiać pragnienie materialnych, samolubnych pożądań i sama sobie będzie się czynić osiłą wszystkich czynów i dążeń swoich. Konieczne i w każdej istocie ludzkiej tkwiące ziarno samolubstwa, które z instynktu zachowawczego wpływając, znajduje się mniej więcej w każdym człowieku, pochwyty to sobie na poparcie i wzmoćni się w gruncie natury młodej tem silniej, że każde dziecko matkę kocha. Starsze dziecko sądzi

Otóż w tem właśnie sęk; zdaje mi się, że pięć miesięcy czasu na napisanie libretta, to nie tak wiele, powtóre mam to przekonanie, iż obmyślenie i obrobienie tekstu, dobrego tekstu do opery, wymaga osobnych kwalifikacyi u autora, który musi być *pro 1-mo* muzykalnym, *pro 2-do* poetą i wierszopisem, *pro 3-io* doświadczonym dramaturgiem.

Wśród librecistów całego świata dałoby się na palcach policzyć tych, którzy to zadanie prawdziwie dobrze rozwiązali; ciekawy jestem też niewymownie wyników nowego konkursu, przypuszczając nawet, że komitet Towarzystwa muzycznego nie będzie wymagał koniecznie oryginalnej inwencji od autorów, ale pozwoli im skorzastać z tematów obrobionych już w innej formie beletrystycznej.

Nie przesądzam sprawy, może się i ten konkurs uda; dotąd tylko jedne jedyny konkursy miały fatalność, a to mianowicie konkursy na pomnik Mickiewicza.

W Europie powinno powstać nowe przekleństwo i to ciężkie: „Bodaj ci Polacy pomnik stawiali!..”

Zaledwie trochę uspokoiły się swary o laureatów i uwiecznione projekta, nadchodzi z Krakowa nowa wieść, która narobiła nowego rumoru. Oto podobno komitet pięciu podpisał kontrakt z panem Rygiem i postanowił pomnik stawiać na Placu Szczepańskim, gdzie obecnie znajduje się targ jarzyn i przekupki przy straganach wymyślają sobie wzajemnie. Znaczyliby to, iż wszechwładna piątka zadrwiła sobie z uchwał poprzednich komitetów i głosu ogółu, wyrzuciła mimo wszystko Mickiewicza z głównego rynku, a dla niego znów porozpędza chce straganiarki ze Szczepańskiego placu.

W te pędy za telegraficznym alarmem w jednym *Kuryerze*, przyszło wprawdzie zaprzeczenie w drugim, ale, że niema dymu bez ognia, a w każdej plotce bywa cząsteczka jakaś prawdy, a zatem i w pogłoskach o samowolnym zamachu pięciogłowej dyktatury musi tkwić coś faktycznego, co ostrzega, aby się mieć na baczności.

Bez hałasu, krzyku, swarów i konkursów, stanął tymczasem inny pomnik dla Mickiewicza, o który upominał się niegdyś kollega Prus w swoich felietonach; tym pomnikiem, z papieru wprawdzie, jest nowe najmożliwiej u nas kompletne wydanie dzieł poety w czterech grubych tomach za kop. 80.

Tak, to fakt niewątpliwy, który sprawdzić możecie w każdej księgarni, że dzieła Mickiewicza wierszem i prozą w czterotomowej edycji, nowiutkie, świeżo wydane zpod prasy z przepysznym portretem autora, rysowanym przez Horowitza z obszerną rozprawą biograficzno-krytyczną, na wstępie napisaną przez Piotra Chmielowskiego, kosztują niecałego rubla, obejmując sto arkuszy dobrego druku na dobrym, białym papierze.

Tak taniej książki, zwłaszcza takiej wartości, nie mieliśmy dotychczas na półkach księgarskich.

„Poezye“ Mickiewicza wydane w Warszawie wyszły staraniem zasłużonej firmy Gebethnera i Wolffa.

Nie powiem wam nic więcej o tej prawdziwie popularnej edycji, bo jestem przekonany, że choćby dla osobliwości posiadania czterech tomów dzieł największego z poetów naszych za cenę tak niską, postaracie się wszyscy o własne egzemplarze i zabierzecie się do odczytania tych poezyi, które odświeżają jak kryniczna woda, ogrzewają jak ogień, karmią, jak żywność ziemia, a pierś rozszerzają, jak górskie powietrze.

Kupcie i czytajcie, choćby poraz setny; nigdy nie dosyć rozkoszy obcowania z takim geniuszem, jak twórca „Pana Tadeusza...“

Quis.

już, niestety! i matkę nawet, a co się przez to wyłamuje w niem, co się wtedy traci, jak się przez to uboży serce... możnaby tomy całe napisać. Ale młodsze idzie za nią bezwiednie, naśladuje przez prawo naturalne ciężenia w tę stronę, i jeżeli nawet potem zwróci się ta dusza w kierunku innym, jeżeli będzie na to dość samodzielna i silna, już przecież nie wszystko da się naprawić, co zepsutem zostało, już nie wszystkie straty mogą zostać odzyskanymi. Smiles twierdzi też słusznie, że żadne naukowe rozwijanie umysłu, żadne najstaranniej dobierane otoczenia dziecka nie zastąpi mu matki dobrej — dobrej, jako ogrzewający serca pierwiastek uczucie, jako przykład prawości ducha i moralnych pojęć o życiu i świecie. Ona to jest głównie i przeważnie tem, co w wychowaniu jednostek i narodów zowie się wpływem rodzinnego ogniska, domu. To ognisko, ten dom rodzinny, to nie tylko seminaryum uczucia i przyjaźni serdecznych, ale idei i przekonań, które światem rządzą. Naród tworzy się z jednostek, które z tamąd wychodzą, i te wodze, te leje moralne, które matki trzymają w rękę przy wychowywaniu dzieci — są to wodze moralnego rządu narodów.

Jest to przecież dla dziecka dopiero doskonałym przygotowaniem do życia, a zarazem doskonałym przygotowaniem do otrzymania w tem życiu możliwego szczęścia, gdy jest *dobrze urodzonym* tak ze strony matki, jak ojca — gdy oboje rodzice są szlachetnymi ludźmi. Między tak szczęśliwymi mieści Smiles Bakona. Ojciec jego, lord Mikołaj Bacon, był kanclerzem państwa i piastował pieczęć korony angielskiej przez pierwsze dwadzieścia lat panowania Elżbiety, a był to człowiek bardzo szlachetnego charakteru, obok wysokiego wykształcenia i kultury umysłu, znakomity prawnik i statysta. Matka, Anna Cooke z domu, podobnie należała do niepospolitych kobiet. Oprócz znajomości języków nowożytnych, umiała po łacinie i po grecku. Tłumaczyła na język rodzinny kazania znakomych kaznodziej włoskich, podobnie jak z łaciny apologie religijne pisarzy angielskich i syn, który się miał stać myślicielem i filozofem głębokim, chował się nietylko w atmosferze naukowej, ale otaczał go umysły poważne i szlachetnie nastrojone.

Może to być przyczynkiem do dziejów naukowości kobiety i rysem charakterystycznym do przeciwstawienia dzisiejszej jakoby emancypacji kobiecej, co Smiles dla uzupełnienia obrazu rodziny Bakona pisze o trzech siostrach jego matki. Najstarsza, Milred, żona znakomitego też dla Anglii człowieka, Burleigh'a, została zanotowana przez angielskiego kronikarza owych czasów jako kobieta po nieszczęśliwej Joannie Grey, najuczciwsza w Angli w greccyżynie. Druga siostra, Elżbieta, poetka, pisywała bardzo szlachetne poezye po grecku i łacinie, tłumaczyła niektóre z francuzkiego na język ojczysty. Trzecia, Katarzyna, też poetka, pisała wiersze po łacinie i po grecku, ale głównie była sławną z głębokiej znajomości języka hebrajskiego i wogóle hebrajszczyzny, nad którą czyniła studia, mające wagę swoją w nauce. I królowa Elżbieta podobnie umiała po łacinie i po grecku, obok tego, posiadała dobrze język francuzki, włoski, hiszpański i niemiecki i rozmawiała niemi z ambasadorami tych krajów.

Podobnie jak Bakon, posiadali szczęśliwie rodziców, działających wspólnie na dobre dzieci wychowanie: Tasso, Schiller, Goethe, Burns. Ojciec Tassa, Bernard, był poetą bardzo cenionym i szlachetnego nastroju ducha; a choć sława syna zaćmiła go i wygładziła z pamięci ludzkiej, niemniej po ojcu to odziedziczył on natchnienie poetyckie, i kierunek uczuć szlachetnych, które pielęgnowała i rozwijała matka. Wygnany z rodzinnego miasta za sprawy polityczne, na zonę musiał zdać kierunek wychowania syna, która je prowadziła z podniosło-szlachetnym nastrojem myśli i uczuć. Serce kobiety nie dało się przygniść ciężarowi cierpienia i nie zdradziło w wychowaniu syna przewodniej idei ojca. Nie ulękała się ona dla syna doświadczeń, które przechodził ten ojciec — nie ulękała się dla swego serca matki cierpień, jakie ponosiła już

małżonka. W samotności swej smutnej żona wygnańca starannie karmiła geniusz poezji w pierś synowskiej, i, według świadectwa współczesnych, była to kobieta, „najbardziej uczuciowego i najpiękniejszego charakteru.“ Wykołysała w sercu syna szlachetne uniesienia poezji i poczytanie jej wśród życia. Do najpiękniejszych lirycznych poezji Tassa należy zamieszczony w Canzonie do Metaura opis, rozłączenia swego z gorąco kochaną i kochającą matką:

„Me dal sen della madre empia fortuna
Pargoletto divelse...“

Schiller wziął po matce całe usposobienie duchowe, tak, jak podobieństwo twarzy i temperament. Był jak ona wysoki i wysmukłej kibici, jak ona miał jasne włosy i łagodne spojrzenie oczu. Szerokie czoło i melancholijny wyraz oblicza, Matka, taksamo, jak syn, była religijną, poważną, entuzjastyczną naturą, żywo odczuwała piękności natury, namiętnie lubowała się w muzyce i poezji. Ojciec nie był niższym, jako czująca i myśląca osobistość ludzka — był mężem wielkiej uczciwości i czystości charakteru a wśród trudnych życia położań oddawał się przejęciem nauce i studiom filozoficznym. Goethe również otrzymał od obojga rodziców wysokie przymioty umysłu i poezji, które potem rozwinął w literackiej swej twórczości. Świadectwem tego, są własne jego wyrazy: „Od ojca odziedziczyłem ten rodzaj wymowności, sprawiającej, że wrażenia moje i pojęcia przenikają w umysł innych. Od matki wziąłem zdolność przedstawiania sobie z żywością i siłą tego wszystkiego, co wyobraźnia objąć może“ — Była to kobieta wielkiego rozumu i zdrowego sensu, pełna uczucia, pisująca do przyjaciół i rodziny niezmiernie miłe i zajmujące listy — kobieta pod każdym względem godna szacunku i poważania ludzkiego. Pewien zapalony wielbiciel poezji Goethego, poznawszy ją i przepędziwszy parę godzin na rozmowę z nią zawołał: — „Teraz rozumiem, jakim sposobem Goethe stał się takim, jakim jest...“

Przypisał wychowaniu macierzyńskiemu te wszystkie przymioty poety i człowieka towarzyskiego, które jednoczyły się w nim i wspomagały wzajemnie.

Burns, romantyczny poeta szkocki, dostał od ojca, szlachetnego, wyższego człowieka, męskiej siły charakteru, intelektualne swe przymioty: rozum, pojęcie życia i ludzi, jak to wyznaje, pisząc: „Rzadkokto ze znanych mi osób rozumiał tak, jak on, człowieka: jego środki działania i drogi, któremi postępuje...“ Syn był podobnym do ojca przez melancholijny nastrój myśli, rzucający swój cień na całe jego życie. Ale była tu jeszcze matka, przynosząca swoją część oddziaływań wychowawczych. Podobnie jak matka Walter-Scotta karmiła poetyczny geniusz syna starymi podaniami i jego ojczyste krajiny, balladami rycerskimi, i w ten-to sposób wśród tych dwóch wpływów poezya, mieszkająca w pierś młodej, wzięła barwy i skierowanie lotu swego.

Należy tu zwrócić uwagę, która nie nasunęła się umysłowi Smiles'a, że z nowoczesnych pisarzy W. Brytanii najsiłniej narodowemi, przez cały charakter swego talentu, wskroś patryotycznymi, byli ci dwaj Szkotowie, wychowani przez matki w uczuciu miłości swego rodzinnego kąta ziemi, których młoda wyobraźnia karmiona była obrazami przeszłości dziejowej, jaka się tam spełniła. Pierwiastek serdecznego uczucia dostawał przez fantazyę poety strawę, odpowiadającą ich rodzinnemu geniuszowi, który w polocie swoim za ideałem dawał ich natchnieniu wyższy blask i kolory. Potęgowało to nawet talent wrodzony tak Burnsa, jak nawet Walter-Scotta: pierś rozgrzewała się od uczucia tej miłości kraju, która ognie swoje przelewała w ich utwory, działając podobnie na czytelnika. Zadzierzgiwał się między pisarzami a publicznością węzeł, przywiązujący ich wzajem do siebie, i razem powiedzić można, że matki przyczyniły się do rozwoju talentu synów, że dały temu talentowi koloryt i skierowanie.

Trzeba też, aby w łonie kobiety gorzał ten płomień wyższych uczuć, które przechodzą w synów,

wyssane z mlekiem ich piersi, wszczepione przez wychowanie, a które potem przez magnetyzm poezji i sztuki wstępują w naród i działają w nim — dają życie temu, co zamarłoby inaczej w istnieniu bez ideału i poezji.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

Stanisław zastał już Borysowiczów, czekających na niego przed karczemką, i ruszyli zaraz prawie po wychnieniu niedługiem. Słońce już wzbilo się wyżej i dzień zapowiadał się gorący, ale wjechali wkrótce w las, który ich otoczył cieniem i chłodem. Jechano powoli, aby się Stanisław nie zmęczył, choć on tego nie chciał i nawet byłby wolał puścić się klusem. Miał może trochę gorączki, która go podniecała, i jazda powolna męczyła go właśnie. Stanęli w miejscu na czas i zastali już stronę przeciwną. P. Roman był blady, ale patrzył hardo, wyniośle; ukłonili się sobie ze Stanisławem chłodno, sekundanci podali sobie ręce. Borysowicz młodszy niósł zabraną z powozu szkatułkę z pistoletami, z ciemnego palisandru, wytwornie w srebro okutą. Belgijskie były, jakiejś sławnej fabryki i wyglądały jak cacka — okrutne te śmierci narzędzia. Ani Stanisław, ani Roman Kalinowski nie mrugnęli okiem, gdy je ze szkatułki wyjęto i opatrywano; obaj ci ludzie, były to natury męskie, zdecydowane na wszystko, co się stać mogło, a pomagała im do tego duma, którą uczuwalii wzajemnie.

Stanisław, w granatowej swej czamarce i wysokich butach do konnej jazdy, wysoki i gibki, prezentował się po kawalersku i nigdy dorodniejszym, piękniejszym nie był. Kalinowski przedstawiał postać silniejszą i stał sztywno wyprostowany, a zobaczywszy Stanisława, gdy ten zeskoczywszy z konia, szedł z Borysowiczami przez polankę, pobrał — nie z trwogi przecieź. Uczuł w sobie namiętnej wzruszenie nienawiści, i twarz pobieliała mu nagle, bo krew zbiegła się do serca, w którym sprawiła jakiś spazm kurczowy. Potem miała mu ona uderzyć do głowy falą gorącą, ale teraz zbladł i taki blady był, gdy nagiąć musiał przed Stanisławem twarzą swój kark. Powóz i koń Stanisława, którego odebrał mu z rąk lokaj Borysowiczów, ludzie ich, odjechali na skraj lasu, jak mieli wydany już poprzednio rozkaz, aby się tam zatrzymali na zakręcie drogi, nie wiedząc nic, co panowie poszli robić na tej leśnej polance, perlającej się jeszcze rosą i pełną kwiecica, otwierającego się do słońca.

Oni tam poszli: jedni, aby się mordować, drudzy, aby asystować mordowi, a przecieź nie byli to ludzie krwawi — nie byli to zbrojcy...

Sekundanci wybrali miejsce walki niemal na samym środku polanki: gładkie i równe. Cień tu był jeszcze i słońce nie mogło uderzać w oczy żadnego z walczących, a wiaterek wiał leciuchny, przejęty aromatami lasu. Gdzieś na drzewinie malutkie ptaszki wywodziło trele poranne, a że ludzie odbywali czynność swą cicho, stąpali po ziemi miękkiej, słychać je było, wesołe, rozlegające się w powietrzu jeszcze wilgotnem.

Potem odmierzono kroki, licząc je głośno. Żegota tego dopełniał. Zdjął słomiany kapelusz z głowy i szedł w linii prostej prostej powoli, dając krok szeroki. Oznaczono dwa przeciwległe sobie stanowiska i sekundanci nabili pistolety; nabijali je Kościeszka i Borysowicz młodszy powoli, uważnie, z akuratnością największą i zachowaniem form wszelkich. Działo się to wśród

cichości takiej, jaką określa przysłowie: — Jak makiem zasiał... Nawet ptaszki na osinie umilkły, zastraszone tem, co robili tu ludzie...

Podano pistolety obu stronom, ale Borysowicz starszy jeszcze chciał spełnić obowiązek ostatni. Przemówił, nakłaniając do zgody. Czyż spór nie dałby się załatwić na innej drodze? Rzeczywiście nie było żadnego takiego powodu, któryby pojednania nie dopuszczał — obrazy, która tylko we krwi się myje... Sąd honorowy mógł doprowadzić do satysfakcyi, należnej stronie, która obrażoną została...

Ale przerwano mu bardzo prędko, zaraz przy wyrazach pierwszych. Stanisław i Kalinowski zawołali niemal razem:

— Nie... już zapóźno... rzecz jest niemożliwa...

Główna przyczyna walki nie tkwiła w okolicznościach zewnętrznych, ale w antypatyj tych obu ludzi, uczuwanej wzajemnie. Dwie te natury miały się tak do siebie, jak ogień do wody, zetknięcie się ich ze sobą wydało starcie, podsycone przez wpływy poboczne, które były jak gdyby dmuchnięciem na żar, ukryty pod popiołem. Gdyby to nie byli ludzie cywilizowani, byłiby skoczyli sobie do gardła zaraz tam na miejscu — w bawialnym pokoju rudawickiego dworu. Wychowanie, — kleszcze form, w których wzrosli, i które wrosły w nich, wstrzymały to do dziś dnia. Ale teraz, gdy stali już naprzeciwko siebie z pistoletami w ręku, teraz obaj pragnęli walki tak, że wzmianka o zgodzie sprowadzała tylko rozdrażnienie większe.

Stanęli prędko na stanowiskach, chłodni na pozór, wyprostowani: oczy ich patrzyły w siebie, krzyżowały się spojrzeniami. Prawe ręce wyciągnęły się jak struny a każda trzymała palec na sprężynie, mającej wysłać w pierś przeciwnika kulę morderczą.

Żegota miał komendę. Blady, zmarszczony, stał z boku, z głową odkrytą, na której czoło wystąpiły grube krople potu. Miał liczyć głośno, wyraźnie do trzech. — *Raz... dwa...* — należało mu wymawiać powoli, przeciągle, bo to był czas, dany strzelającym do wzięcia przeciwnika na cel. Ale: — *trzy!*... powinno było wypaść mu z ust szybko, krótko, bo było to jak gdyby zawołaniem: — *Pal!*...

Wpatrzył się w jakiś punkt fikcyjny i zabrałmiał wśród ciszy donośne — *R-a-z!*...

Gdy otwierał usta, aby się ozwał: — *D-w-a!*... z góry ponad zebranymi — z wału, który on właśnie miał prosto przed oczyma, rozległ się wykrzyk:

— *Stój!*...

Wanda stała tam na koniu, blada jak śmierć z błyszczącymi jak węgle oczyma. Nie miała na głowie żadnego okrycie; może kapelusz jej gdzie spadł, gdy się przedzierała przez zarośla, może zrzuciła go sama, gdy jej przeszwał wśród gałęzi, i włosy jeżyły jej się nad czołem stargane. Jechała za Stanisławem od samego domu krok za krokiem, ale trzymając się tak w tyle, aby nie usłyszał stąpań jej konia, aby jej nie zobaczył, obejrzawszy się. Były miejsca, że jechała rowem; zpoza kępy dzikich bżów i tarniny widziała go, jak zajeżdżał przed karczemką, jak spotkał się i witał z Borysowiczami, jak potem wyruszyli razem, wjechali w las. Wypuściła konia i mogła ich była dopędzić, ale bała się zdradzić, ukazać wcześniej. Skłamałaby przed nią, bo w takich razach najuczciwsi mężczyźni nie uważają sobie za plamę, za dyshonor kłamać przed kobietą. Mówią sobie: — Istota słaba, której należy oszczędzać wstrząśnień bolesnych... i kłamią, przez litość!

Skłamałaby i rzecz została by jedynie odroczone, a ona chciała uniemożliwić ją na zawsze, niedopuszczając do walki nigdy... nigdy... Miała do tego prawo, bo działo się to przez nią i na nią potem spadałaby nietylko odpowiedzialność przed ludźmi...

Niechby padł tu trup. — Stanisław!... Roman!... czykolwiek, okryłby ją na zawsze całun żałobny... na zawsze — na zawsze już...

Cień zabitego chodziłby za nią do końca jej dni na ziemi! Blady, skrwawiony cień, byłby towarzyszem jej dni i nocy.

Ominęła karczemkę, objechała ją kołem i pu-

ściła się w las, w kierunku, w którym widziała oddalający się powóz. Świeży ślad kół był dostatecznie pewną wskazówką, ale niestety! zmyliła ją... Któryś szlachcic żurawicki jechał rano do miasteczka, przejechał drogę w poprzek i ona biedna omyliła się... Puściła się złym śladem drogą wiodącą lasem; na szczęście, że szła ona równolegle z polanką, a że Wanda, nasłuchując, jechała stępą, doszły ją z oddala głosy i nie mająca czasu do stracenia, puściła się na przelaj. Była już na wale, gdy usłyszała mierzenie kroków i doznała uczucia, jakgdyby ogarniało ją szaleństwo, wtedy-to cisnęła z głowy potargane włosy. Ale przybyła jeszcze na czas... — Stój!... krzyknęła na Żegotę takim głosem, jaki nigdy jeszcze nie wyszedł jej z piersi.

Tam na dole nastąpiło zamieszanie i przerwa w czynności. Wszystkie oczy podniosły się w górę, gdzie ujrano rozexaltowaną, rozżaloną dziewczynę, dopuszczającą się szalonej rzeczy. Zjeżdżała prosto z góry—z pochyłości zarosłej sośniną prostą, jak świece i zmuszała do tego konia, który widocznie lękał się i opierał, jak zwykle wśród sośniny, jak trawa była tu niska i drobna, ślizga. Ale w nią wstąpiła brawura i siła jakiejś Kloryndy średniowiecznej: ściągnęła konia uzdeczkę, zacięła szpicrutą i biedny zwierzę stał się w końcu posłusznym. Ostatnie przedostanie się w dolinę musiało być skokiem. Koń go dokonał, ale padł—klęknął na przednie nogi.

Z wszystkich piersi wyrwał się krzyk przerażenia. Rzucono się do niej, ale utrzymała się dzielnie na siodle. I koń, szczęściem niepojętem, nóg nie zламаł.

Zanim się dźwignął na nie, już Żegota porwał z niego Wandę, ale i ona stanęła prędko na ziemi.

Przecież zachwiała się i musiała przyjąć objęcie, które jej otworzył. Czarny warkocz spłynął jej przez ramie; zamknęła oczy.

Ale trwało to moment tylko. Poskoczono po wino, które na wszelki przypadek miano ze sobą, starszy Borysowicz podał jej nalaną nim czarę, którą wypila do dna i krew zaczęła jej z wolna wracać na lice. — Dziękuję... — rzekła łagodnie. — Już mi teraz nie jest...

Mówiła to do Borysowicza, ale potem obróciła wzrok na Żegotę i zarumieniła się. — Dziękuję... — powtórzyła.

Siadła na jednym ze wzgórków, czy kurhanów, a teraz wszyscy już byli przed nią. Roman Kalinowski stał przeciw najdalej—zdaleka, jakgdyby nie śmiało zbliżyć się do niej. Jeżeli przed chwilą człowiek ten namiętny bladł z nieważności, ze złości, teraz lica powlekła bledność inna... o! inna... Serce jego rozrywał ból i żal nieokreślony nad tą zbiedzoną, nad tą nieszczęśliwą, którą ściagał i doprowadził do tego, że ujrzał ją w uniesieniu rozpaczony niemal na progu śmierci—przedmiot litości ludzkiej... Ach! ta dzielna, ta szlachetna, nie była dla niego i nie mógł nigdy pozyskać jej sobie, bo on był—nikczemny!...

Serce twardego człowieka uczuło jakgdyby hydra jakaś owinęła je wkoło i ścisnęła pierścieniem swoim. Uczucie nigdy nie zaznane przeniknęło je żalem i goryczą—kochał w tej chwili miłością nieszczęśliwą—miłością bez nadziei...

Gdybyż był mógł choć paść teraz do nóg Wandy i wypowiedzieć jej to wszystko—przysiądz, że już nie jej prześladowca, ale nędzarz godzien litości znajduje się przed nią i błaga przebaczenia! Jakżeby on pragnął położyć u jej stóp głowę na piasku i przekląć przeszłość swoją... Pragnął, ale nie mógł... Jak duch potępiony stał z daleka i rozpacz niema targala nim.

Ale każde uczucie silne ma jakąś moc wydzielenia się z głębi swojej—magnetyzm swój, i Wanda jakgdyby usłyszała jęk wzywający jej. Obejrzała się i spotkała się z desperackim spojrzeniem Romana.

Gdy tu jechała, gdy się przedzierała przez zarosła, pięła pod górę, rozpacz, która ją unosiła, poddawała jej w myśli wyrazy pełne żalu i gniewu, oburzenia, któremi pragnęła conajprędzej zawołać na tych, którzy podstępnie, skrycie

przed nią, chcieli rozstrzygać rzeczy, jej dotyczące. Oh! mężczyzna postępuje tak zawsze z kobietą: uważa ją za dziecko, za istotę wiecznie małoletnią, bez jej wiedzy rozporządza despotycznie nią i jej losem, i ona biedna uczuwała też namiętne pragnienie, aby tę gorycz swoje, to oskarżenie, protest przeciw tej nieprawości z ust wyrzucić. Powie im... Stanisławowi i jego świadkom—wszystkim powie to...

— Kto wam pozwolił załatwiać beze mnie sprawę w której ja jestem najwięcej interessowaną, bo przez konsekwencye swoje stanowi ona o przyszłości mej całej?

Powie to... lecz teraz oto nieboga, spotkawszy się z rozpacznie smutnym, przygnębnym wzrokiem Romana Kalinowskiego — rozplakała się.

Najpierw zawiodły ją siły, a teraz zmógł żal—rozplakała się... Łzy polały się strugą, łkania podniosły pierś i wszyscy ci zebrani tu mężczyźni zrozumieli naraz, że na niej to — na tej biednej, bezdomej sierocie odbiłyby się najsilniej skutki pojedynku.

Zapanowało przykre, smutne milczenie, gdy naraz Roman Kalinowski postąpił naprzód i stanął przed Stanisławem. — Panie Starowiejski — rzekł — przepraszam, że cię obraziłem. Za tobą jest słuszność, boś się ujmował za starością, niezdolną radzić sobie... przepraszam cię...

Wyciągnął rękę, którą Stanisław żywo ujął. — I ja byłem gorączką — zawołał. — Postawiłem rzeczy na ostrzu i przepraszam też pana...

Wszyscy ich otoczyli i wszyscy wkoła wyciągnęli ręce do p. Romana, a on zwrócił się zaraz następnie ku Wandzie, której wzruszenie dało nagle siłę, aby się podnieść. Przestała płakać; łzy tylko, nieobeschłe jeszcze, miała na bladym obliczu i stała tak ze zroszoną niemi twarzą, a on nisko się pochylił przed nią. — I pani mi daruj — rzekł — a głos mu drżał — daruj mi...

— Jestem nieszczęśliwy — dodał ciszej — i daruj mi...

Spojrzenia ich się zbiegły, zrozumiała go i łzy znów zaświeciły w oczach. Spuściła je, ale dwie perły zawisły u długich rzęs czarnych i stoczyły się z nich powoli.

— Zapomnij mnie pan — szepnęła. — Ja jestem, jak związana ślubem... Może jak ślubem zakonnym tylko, może nie ma przede mną nic, prócz samotności dogrobowej, ale tak już być musi... Zapomnij mnie...

— Nie — odparł — czuję, że nie potrafię... Nigdy... nigdy nie zapomnę...

Mówili już to wszystko głosem przyciszonym, a nikt niedyskretny nie podsłuchiwał ich — wszyscy cofnęli się w tył.

On się pochylił do jej ręki i usta gorące spoczęły na niej może nieco dłużej, niż przy pospolitej formalności towarzyskiego zwyczaju, gdy obcy mężczyzna całuje rękę obcej kobiety. — Odjeżdżam jutro w Gostyńskie — rzekł potem nieco głosięcej.

— Jedź pan z Bogiem — odparła mu taksamo.

Nie był to jednak ostatni akt tragedji, która się zadzierzgnęła między niemi, bo on odjeżdżał z sercem rozdartem i dla niego tragedia rozpoczęła się właśnie dopiero teraz. Natury takie, jak on — twarde, ostre, samolubne, gdy raz wpuszczą sobie miłość w serce, kochają też twardo i silnie — uparcie. Jak w piersi Romana Kalinowskiego miała pracować ta miłość nieszczęśliwa — odtracona i bez nadziei? Odjeżdżał w inne strony, ale te rzeczy idą za nami wszędzie — na kraj świata...

Jeszcze raz skłonił się obecnym i oddalił szybko. Jego powóz był niedaleko i słycać było, jak odjechał.

Starszy Borysowicz, jako człowiek żonaty, miał oobowiązek zajęcia się Wandą i nie zaniedbał też tego. Wsadził ją do swego powozu, a bratu młodszemu kazał iść na kozioł. Ten przecież dla jej dogodności byłby chętnie zabrał się na wóz smolarza: był upojony wrażeniem jej siły i razem jej słabości, piękność jej rozpromieniła mu się nagle w objawieniu nowem. — Ach — myślał — być kochanym od takiej kobiety!...

Jechano z wolna, ze względu na Wandę, aby już teraz przynajmniej najspokojniej, najwygo-

dniej dostała się do domu, i on, patrząc w las, marzył.

— Być kochanym przez takie serce gorące, przez kobietę takiej woli silnej — przez taką wierną... szlachetną...

Podobnego wrażenia, ale w stopniu wiele wyższym doznawał Żegota. Dla niego było to jak objawienie kobiety, jakiej nie znał, nie podejrzewał, że istnieć może. Obrazy malowane w książkach brał za ideały poetów. Nieraz myśl jego zatrzymała się na nich, ale po to tylko, aby ruszył ramionami. Rozumiał bohaterskość mężczyzny, ale kobiety były to dla niego dobre, niewątpliwie pocziwe i kochające stworzenie, które przecież umieją najlepiej chować drób i ucierać noski dziecinne. Zbiegł się też teraz myślą z Borysowiczem młodszym i tak, jak on, patrząc w zielone zacienienie lasu, myślał: — Być kochanym przez taką kobietę...

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości literackie i naukowe.

9. Niezmordowany badacz literatury ojczystej dr Piotr Chmielowski, po życiorysie Mickiewicza, stanowiącym duże dzieło (2 tomy, Warszawa, 1886), opracował obszerny życiorys i ocenę działalności Kraszewskiego p. t.: *Józef Ignacy Kraszewski, zarys biograficzno-literacki*. Kraków, 1888, nakład Gebethnera i Sp., druk L. Anczyca i Sp., str. III, 534 i wykaz pism autora; 8-o). Kto sobie wyobrazi ogrom dzieł najznakomitszego z powieściopisarzy naszych a najplodniejszego ze wszystkich społecznych, ten będzie miał zarazem pojęcie o ogromie pracy, jakiej potrzebował tak sumienny badacz, jak Ch., do przedstawienia obrazu działalności, a choćby tylko scharakteryzowania, pojedynczych dzieł zmarłego. Napisanie takiego życiorysu w ośm miesięcy po skonie Kraszewskiego byłoby rzeczywiście niemożliwym, gdyby nie to, że książka — jak objaśnia Autor we wstępie, — jest wynikiem pracy dwudziestoletniej. Rzeczywiście już na ławach uniwersyteckich Chmielowski zajmował się Kraszewskim, nie tylko jako prosty czytelnik, ale jako przyszły literat, historyk i estetyk literacki. Tylko nadzwyczajna pracowitość, wspierana silną pamięcią, gruntowną wiedzą, ścisłością rzadkokiedy dającą się wypierać ze stanowiska, przez pierwsze wrażenia lub utrwalone upodobania, umożliwiła autorowi dokonanie tylu już prac, trwałą wartość w literaturze mających. Wszystkie te przymioty czy siły współdziałały i przy nowem dziele. Jest to dokładny, prawie zupełnie wyczerpujący, inwentarz, a lepiej powiedzmy: roztoczony przed oczyma czytelnika pochod wypadków czynów i dzieł, jakie życie Kraszewskiego w około osobistości jego nagromadziło. Do dziesięciolecia 1830 — 1840 miał Chmielowski własną swą pracę w książce Jubileuszowej; tu ją rozszerzył, uporządkował, przystosował do wymagań dzieła ogarniającego całość (str. 27 — 104 nowego życiorysu). Uczony autor wyzyskał zupełnie materiał drukowany, a bądź od samego pisarza, bądź od świadków jego działalności pochodzący; nadto znalazł jeszcze wielką pomoc w korespondencyi Kraszewskiego z Konstantym Podwysockim, z rodziną, z Placydem Jankowskim, w ustnych wreszcie opowiadaniach p. Kajetana Kraszewskiego, z których-to wszystkich wyjątki przed 9 laty podał był w cennym swoim życiorysie Adam Pług (*Książka Jubileuszowa*, I — CIV). Firma nakładowa dostarczyła Chmielowskiemu nabytego przez siebie rękopisma *Nocy bezsennych*, spisanych po wyjściu z Magdeburga. Dopełnienie życiorysu przez Pługa w *Kłosach* (r. 1887) z listami Kr. po r. 1880, sprawozdania urzędowe z procesu, opowiadania Jeża i innych o śmierci i pogrzebie, uzupełniły obfity materiał. Przy takich zasobach i takiej umiejętności korzystania ze świadectw historycznych, jaką posiada autor *Adama*

Mickiewicza, nowe jego studium pod wszelkimi względami czyni zadość swemu zadaniu i ma prawo do jaknajwiększego rozpowszechnienia, nie dlatego tylko, że nam ukazuje obraz życia i działalności tak wielkiego pisarza, ale że jednocześnie daje podkład stosunków ogólnych. Jest tu i kawał życia powszechnego w obrębie życia jednostki. Szczególniej zajmującym staje się dzieło Chmielowskiego od rozdz. VII (str. 281).

Sąd swój o Kraszewskim jako pisarzu i człowieku publicznym zamyka Chmielowski w ustępie V ostatniego rozdziału dzieła, od str. 514-526. Właściwa krytykowi jasność, stanowczość myśli, a prawdziwość i prostota formy, ani na chwilę go nie opuszczają.

Wogóle zpod sądu krytyka Kraszewski wychodzi jasnym. Z zapałem mówi Chmielowski o jego niesłychanej pracowitości i wytrwałości i stawia go za wzór dla innych. Dobrze go pojął jako obywatela i publicystę. Ustęp książki odnoszące się do tego zakresu są najświeższe, najoryginalniejsze — i najbardziej zajmujące w czytaniu. Z czasem będą miały wagę nawet dla historyka naszego *temporis acti*.

10. Jeszcze Kraszewski. Mogliśmy byli tym razem wiadomościom swoim dać ogólną nazwę: *Crasseviana*. Jeź z osobistych stosunków ze zmarłym spisał *Wspomnienia o J. I. Kraszewskim* (z portretem Kraszewskiego podług medalionu L. Szeina; Warszawa, 1888, wydawnictwo imienia T. T. Jeża, druk E. Skińskiego; str. 71, 8-0). Książka mała, ale bardzo ciekawa — ze względu na obu ludzi, których literatura może rozdzielała, lecz życie nieraz zbliżało. Jeź opowiada tu ze szczerością, którą czuć w każdym słowie, poznanie się, późniejsze stosunki, przedśmiertne chwile i pogrzebowe dni Kraszewskiego. Bije z tych wspomnień dobroć serca i pewna, zachość umysłowa Jeża, graniczająca już ze szlachetnością; maluje się w nich także i sam Kraszewski w swej gorączkowości, niepokoju i późniejszym przygnębieniu. Dobrze, iż rozrzucone po czasopiśmie wspomnienia weszły w książkę, która, jako taka, ma już byt samoistny i nie zginie; bo nawet jako materyał dla historyka osobistości Kraszewskiego *Wspomnienia* Jeża mają niezaprzeczoną wartość.

Kraszewskiego poznał Jeź, jak my wszyscy: w książce. Ciekawe opowiada rzeczy o poczytności jego powieści na dalekich kresach w epoce dającej się oznaczyć latami 1835 — 1845. Jakaś paniąka *Żańcia*cka w Humańszczyźnie, dopóty czytała książki Kr., dopóki się nie rozkochała w ich autorze. Na całym Pobereżu, koło Humania, koło Braclawia najpierwsza do autora *Ulany* przygłęła płeć piękna. Na cały Powiat Bałcki jeden tylko szlachcic, niejaki Lipiński, gazety pręnumerował: było to w owych czasach kosztowne przedsięwzięcie. W domach magnackich, jak Karola Brzozowskiego, ojca zmarłego w r. z. Zenona (przyjaciela Słowackiego z lat 1835/6) zaledwie słyszano o Kraszewskim: Balzac królował. Dopiero Andrzej Zamoycki, (późniejszy prezes Tow. Roln.), przyjechawszy na Podole przywiózł ze sobą i odczytał w salonie powieść naszego pisarza (zapewne *Poeta i Świat*). Odtąd już się nim zajmowano, nawet w salonach, a pod strzechę, pod dach obywatelski, książka Kraszewskiego coraz częściej zaglądała. O samym autorze krążyły dziwaczne wieści. Mówiono, że w ogrodzie dworskim — (Kraszewski mieszkał wówczas w Gródku) — ukazuje mu się biała dama i t. p.

Pierwszy raz w stosunek z Kraszewskim wszedł Jeź w r. 1841 lub 2-gim, będąc jeszcze uczniem gimnazjum niemirowskiego: napisał jakąś powiastkę i posłał ją do *Athenaeum*. Dzieciństwo to utonąło w niepamięci. Później, gdy Jeź już zmętniał i na świat szeroki wszedł i w głębie serca ludzkiego zstępować zaczął jako powieściopisarz a autor głośnej *Handzi*, daremnie go Kraszewski wzywał do współpracownictwa w *Gaz. Codz.* Osobiście poznali się obaj żołnierze z pierwszego szeregu w r. 1864 w Paryżu. Kraszewski pierwszy do Jeża się zwrócił. Zajmując treść tego pierwszego spotkania czytelnik sam sobie wybierze ze strony 32 — 34-ej książeczki Jeża. W kilka tygodni później zobaczyli się w Dreźnie, gdzie

Jeź czekał na żonę, z Czortkowa galicyjskiego przybyć mającą. Rys charakteru Kraszewskiego na biesiadzie z Czechami zajmie żywo jego biografia (st. 36). W r. 1867 nowe spotkanie w Paryżu na powszechnej wystawie przemysłu. Kraszewski rozmawia z Jeżem o ofiarowanej sobie katedrze literatury polskiej w Krakowie.

Wr. 1876 ujrzał Jeź znowu znakomitego powieściopisarza w Montreux i wprowadził go do domu pp. Lipkowskich. Tym razem wiał już z Kraszewskiego chłód, którego autor *Handzi* wyłomaczył sobie nie umie. Na jubileusz Jeź przysłał od siebie powinszowanie, ale go nie wydrukowano, ani nawet nie dano pokwitowania z odbioru. Stosunki były już zupełnie zerwane, kiedy minął jubileusz Jeża a Kraszewski ani słówka od siebie nie przysłał. Ale uczciwość oburzyła się na prześladowanie. Autor *Handzi* pierwszy napisał do więźnia magdeburgskiego, protegując jakiegoś kandydata stypendium ufundowanego przez Krystyna Ostrowskiego. W odpowiedzi otrzymał list francuzki podany na stron. 45-ej. Wraz z zawiązaniem tej korespondencji, powróciła i dawna serdeczność, która wyblęśla odrazu przy owym pierwszym poznaniu w Paryżu, w r. 1864. Kiedy Kraszewskiego uwolniono za kaucją (wysokość jej autor podaje na 22.000 marek), Jeź zaczął się troszczyć o zebranie funduszy mogących zapewnić Kraszewskiemu spokojną starość na tułactwie, i napisał wezwanie publiczne do składek. Jeden tylko dziennik je wydrukował, a nikt za głosem nie poszedł. „Wyrwałem się jak Filip z konopi — pisze Jeź ze szczerością człowieka rozporządzającego znacznym kapitałem publicznego uznania — zrobiłem zupełne a ogromne *fiasco*. Wierzyć mi się temu nie chciało. Nie pojmo wałem, jak się to stać mogło.“ Stało się w sposób bardzo naturalny: bez upoważnienia samego Kraszewskiego składki, z najlepszym nawet sercem przedsiębrane, nie miały racji bytu. Ale Jeź nie ustawał w usiłowaniu. Napisał do hr. Stanisława Tarnowskiego o zajęcie się sprawą — jak mniemał — niecierpiącą zwłoki. Odpowiedź z d. 19 Kwietnia 1886 r. stanowi wcale niezły przyczynek do charakterystyki tej koteryi, politycznej zarazem i literackiej, na której czele od śmierci Szujskiego stoi właśnie hr. Stanisław. *Curiosum* to znajduje się na str. 7 i 8 ej *Wspomnień* Jeża.

PIĘKNO U DOMOWEGO OGNISKA.

Pod tym tytułem p. Kazimierz Kleczkowski, docent Szkoły Politechnicznej we Lwowie, napisał pożyteczny i miły czytający się traktacik z zakresu estetyki praktycznej, w dziale szczególnie obchodzącym kobietę. Stare określenie jej społecznego zawodu, że jest kapłanką domowego ogniska, nigdy prawdziwie być nie przestanie, bo dopóki rodzina istnieje będzie w jej dzisiejszym pojęciu, dopóty ona stać musi na czele domu swego, aby przechowywać świętości, które ludzkość tu sobie mieści — bronić od zagasnięcia iskrę, jaka się tu zarzy. Pełnią się tu prace i obowiązki surowe, poważne — wychowuje się dziecko, które jest przyszłością społeczeństwa, zbiera się zapasy, które nietylko żywią rodzinę, ale są częścią majątku narodowego, mieszczącą w skarbonie swojej i grosz ten, który jest przeznaczonym na pogłównie obywatelskie — przecież ognisko domowe ma jedno jeszcze i niemałe znaczenie. Życie pełnym jest trudów i mozołów: na forum męczą się duchy; na polu pracy, chleb wydającej, czoła znoją się gorąco i uczynić dom przyjemnym, oile można, miejscem odpoczynku i wytchnienia dla członków rodziny i tego obcego, który jest sąsiadem, gościem, przyjacielem — należy do obowiązków kobiety.

W umilaniu domowego ogniska piękno ma swój dział, rolę swoją. Z chwilą, gdy człowiek, stałą siedzibę sobie zbudował, uczuł już to i obok chałty, z ledwo ociosanych berwion wzniesionej, za-

raz sobie ogródek zasadził, zasiał w nim kwiat, któryby widokiem swoim oczy jego radował. I tak posuwając się coraz dalej, doszedł do tego, że oile stać go na to, wszelkie możliwe piękno sztuki, która jest idealnych jego porywów wyrazem, do pomocy w zdobieniu domu swego przyzywa.

Że przecież muszą istnieć pewne dlatego piękna warunki, wynikające z potrzeb i sposobów pędzonego tu życia; że należy tu brać w rachunek wygodę, którą człowiek w domu swoim znaleźć chce i znaleźć powinien ze względu na zdrowie i zachowanie sił, do pracy mu potrzebnych: ład nietylko architektura, ale i urządzenie, przyozdobienia mieszkań naszych musi ulegać pewnym względom. Piękno u domowego ogniska wtedy dopiero otrzymanem być może, gdy harmonia, godząca rozmaite te względy w ład swój je zwiąże i charakterem tej ładności odzije. Że człowiek poczuwał to od wieków, świadczą rozmaite style w budowaniu i urządzaniu mieszkań — w upiększaniu ich, godzącem się z warunkami pędzonego tu istnienia. Autor książeczki, jako przykład tej naturalnej potrzeby, przedstawia czytelnikom dwa typy wybitne: dom klasycystyczny i dom średniowieczny.

Wykazanie tej prawdy, że piękno otrzymanem być nie może w warunkach, nie odpowiadających potrzebom domo wników i skali ich życia — jest jedną z pouczających stron książeczki i w konsekwencyach swoich jej użytecznością moralną, bo dobrą przestrożą dla czytelniczek. Autor trzymając się ściśle swego zakresu, nie dotyka tej kwestyi, jak w położeniu takim sam naturalny ruch życia rozkłada z konieczności owo niby piękno, skazując tych, którzy je utrzymać pragną, na niewdzięczną, a daremną pracę. Stawia on tylko rzecz swoją pod kątem tego twierdzenia, że piękna nie może być tam, gdzie niema wszystkich harmonizujących z nim warunków. — „Stokroć smutniejsze wrażenie czyni sala balowa niedostatecznie oświetlona, niż najboższa pracownia z jednym, lichem tlejącym kagankiem“ pisze, i wskazuje naturalne warunki piękna różnych składowych części domu, w stosunku do ich przeznaczenia wymagalne, objaśnia przytem, jak je otrzymać. Przestrzeń i jej wypełnienie, kształty, barwy — wszystko to jednoczyć się ze sobą powinno i odpowiadać celowi przeznaczenia swego. Jak noc zaciera przez czarność swoje rozmiary otaczającej nas przestrzeni, tak kolory ciemne pomniejszają kształty, jasne zdają się czynić je większemi. Ciemne obicie ścian wyraźnie akcentuje zamknięcie nas pomiędzy niemi; jasne, przeciwnie, uczuwać tego nie daje i sprawia oku złudzenie więcej otwartej przestrzeni.

Mieszkanie takie, a nie inne, oddziaływa na wyobraźnię i każdy to wie, że są mieszkania wywierające wrażenie uweselaające, są mieszkania posępne, które nawet nie będąc mniej wygodnemi, są nam mniej miłe, są smutne i zasmucające jakkolwiekby człowiek mówił sobie, że to tylko obicie tej ściany jest ciemne, tylko nieodpowiednie zmieszanie barw wywołuje te efekta rozstroju. Wzrok odbiera wrażenie przykre i udziela nam go — drażniony niemi, drażni w nas instynkta, poczuciem piękna złączone. Wyobraźnia jest wielką władzą; wiemy, że może uskrzydlać i wywozić nas, gdzie zechce — że jest pomocnicą naszą w życiu, aby je uweselić, lecz może być i dręczycielką, gdy ponurość ją ogarnie. Autor przytacza jako przykład tych twierdzeń, jak angielski poeta publicysta, Leigh Hunt, skazany za przestępstwo polityczne na dwa lata więzienia, kazał wymalować sobie na otaczających go ścianach latorośle winne, tworzące wkoło niego, niby altane, a na sklepieniu ponad głową obłoki i jakgdyby przelatujące powietrzem ptaki. Bronił się on w ten sposób przed smutnym przygnębieniem zamknięcia, przebywał wyobraźnią w świecie swobody i piękna natury otwartej.

Oświetlenia mieszkania ważną gra rolę w estetycznym jego wyglądzie. Są komnaty, które powinny być zaciszne i zacienione, są salony i bawialnie, które światło rozwesela i przestrzeń ich jakoby rozszerza. Przeznaczenie ich stanowi o tem

tak ilość okien, jak i ilość zwierciadeł, które są niby sztucznymi oknami, bo też rozświetlają i jakoby rozszerzają przestrzeń, powinna być odpowiednio umiarkowana—powinna być umiarkowana.

Jednostajność, szablonowość nuży. Nudnym jest dla oka widok długich, pod sznur, jak ściany wyciągniętych i strzyżonych szpalerów w Wersalu i Schönbrunn; podobne wrażenie wywierają pokoje zbyt systematycznie umeblowane i nakazujące przebywającym w nich przymusowe trzymanie się pewnego koniecznego porządku, czy etykiety. Jakież urozmaicenie: poboczne siedzenia, przyjemne kąciaki z wygodnymi kanapkami—stoliczki i foteliki odmienne, wywierają miłe, pociągające wrażenie. Dekoracja pokoi, sprzęty i ich ustawienie oddziałują na przebywających w pośród nich; nużąc oko przygnębiają humor i fantazją, lub rozweselając, podbudzają ją. Wiedział o tem Wiktor Hugo. Przebywając jako wygnaniec na wyspie Guernesey, tak ustawił sobie biurko do pisania, aby miał przed sobą krajobraz morski o nieskończonej perspektywie, co, jak utrzymywał, było podnieciem dla poetyckiej fantazy—uskrzydlało ją.

Przykład podany przez autora nie przedstawia wyobraźni, ulegającej wyjątkowo wpływowi zewnętrznego oddziaływania. Jeden z naszych pisarzy, myśliciel poważny i głęboki, tak tłumaczy na podstawie własnych wrażeń, dlaczego w nocy twórcze władze umysłu potężnieją. Ciemność, która nas wtedy otacza, z jednym tylko światłem przed nami, sprawia, że nie rozpraszamy się przez wzrok na wrażenia poboczne i doskonalej w sobie skupieni, wydostajemy więcej z siebie. Autor wyraża też mniej więcej to samo, pisząc: „Krzesiwem dla zmysłów są światła i cienie.—Jaśniejąca światłem przestrzeń, w której się znajdujemy, myśl naszą rozprasza.”

Otoczenie nie jest zatem rzeczą obojętną. Kształty piękna są wyrazami pewnej idei i w oddziaływaniu swem na nas mają siłę wrażeń, którą autor stara się wykazać. Piękno i brzydota posiadają podstawy swoje stałe i nie są zależne od mody, w nas jedyne pojęcie ich kształci się—podnosi lub zniża według tego, jak nasz ideał piękna może być wyższym lub niższym, przez własną naszą wyższość, lub niższość w poczuciu piękności. Kolumny stylów architektury helleńskiej i cały jej porządek pozostają po dziś dzień wyrazem niespożytego piękna; epoka Odrodzenia sztuki w XV i XVII wieku, to owoc odkrytych dzieł wielkich sztukmistrzów greckich, Praxytelesa i Fidyasa. Doskonała harmonia, na której piękno polega, wywołuje zadowolenie duchowe i dlatego piękność prawdziwa nigdy przestarzała nie będzie, jak uczucie, które budzi, nigdy nie przestaje przynosić człowiekowi rozkoszy, uszlachetniającej go przez przeniknięcie ową harmonią, z której piękno kwitnie. „Kształt piękny jest przyobleczeniem w szatę zewnętrzną pięknej myśli—jest myśli tej materialnym wyrazem”, zatem mistrz, który piękno tworzy przemawia przez twory swoje i jego to duch działa tutaj. „Materia sama jest bezkształtna, kształt jej jest objawem siły i pojęć piękna artysty.”

Ostatni rozdział książki: *Co to jest ornament?* (ozdoba) daje wskazówki bardzo pożyteczne pod względem praktycznego kształcenia się smaku: tłumaczy cel ozdoby i efektu, jakie wywiera. Że piękno jest harmonią, więc ozdoba musi być harmonijną, nie może być ona wynikiem przypadku, przeciwnie, ulega ona surowemu, niezłomnemu prawu estetycznemu, niepozwalającemu na samowolę. Zdobić można tylko zgodnie z zasadami piękna—harmonijnie. Barwy, światło—wszystkie wogóle sposoby zdobienia jakiegoś kształtu, muszą odpowiadać sobie, godzić swoją naturę piękna z przedmiotem upiękaszonym.

Poczucie tego jest indywidualnem, istnieje ono w stopniu wyższym lub niższym, podnosząc się przez wyrobienie estetyczne, przeciw odczuwają je nawet massy proste; ludowe przysłowie nasze: „przypiął jak kwiatek do kożucha“ dowodzi, że pojęcie harmonii, czułość na nią, tkwi w naturze ludzkiej i tworzy źródło zadowolenia, przyjemności, dla każdego niemal człowieka. Kobieta ma z natury dany jej pociąg do piękna, do zdob-

ności i jest to obdarowanie bardzo cenne, jeżeli szlachetnie pojęte, wspomóż ją w dziele dobroczynnem upiękniania codzienności życia, przez wprowadzony w pożyte rodzinne pierwiastekładu i wdzięku—piękna, które z tego wynika. I samej sobie ozdobi ona w ten sposób i umili życie, ozłoci je blaskiem poezji, co pomoże jej do ukochania swych obowiązków, bo do ukochania domowego ogniska.

Wskazówki estetyczne, jakie mieści książeczka p. Kazimierza Kleczkowskiego, mają tę zasługę, że skierowują ku temu i zwracają na ten punkt uwagę kobiety, dopomagając jej w przeprowadzeniu myśli, które budzą. Drobne rysunek, wykonane przez samego autora ilustrują rzecz podaną. Na okładce tak ładnej, tak miło wpadającej w oko, że zewnętrzną odpowiada treści, mającej piękno za przedmiot, znajduje się jako symbol domowego ogniska bardzo wdzięcznie, delikatnie narysowany trójnog grecki z płonącym ogniem. Trójnog ten po wszystkiej wieki i czasy będzie świętym, bo świętość tworzy, dając sercom ludzkim ciepło, przy którym ogrzewają się duchy.

Pożyteczna ta książeczka wyszła nakładem księgarni Teodora Paprockiego i spółki. Druk, bardzo czysty i wyraźny, jest Instytutu Głuchoniemych.

M. Ilnicka.

Z dziedziny symboliki i mitologii.

G Ó R Y.

„I kogóż nie wzruszy pamięć czasów minionych, sięgających zamierzchłej przeszłości?”

Cicero.

Wiecznie młoda i piękna, a w szczodrobliwości swej dla człowieka granic nieznająca przyroda, była od najdawniejszych czasów owem źródłem niespożytem, z którego fantazja narodów czerpała wszystkie swoje cudowne pojęcia i wierzenia. Więc też nic dziwnego, że w ciągu wieków, gdy się nagromadziły bogactwa nieprzebrane, stała się ową wielką skarbnicą starych podań i mitów, które dziś tworzą zakres tak zwanej *Symboliki*, gdzie każde drzewo i kwiat, każdy ptaszek i zwierzę występuje w jakimś znaczeniu fantastycznym i obok własnej postaci przybiera dowolnie postać ludzką i mową ludzką się posługuje.

I nie tylko twory organiczne, to jest rośliny i zwierzęta działają na tem polu pierwotnej poezji naszych przedhistorycznych praocjów. Symbolika zostaje bowiem w bliskim, a nieustannym związku z mitologią, więc niemniej mają tu role swoje wybitne wszystkie siły przyrody i wszystkie zjawiska fizyczne, słowem: cały ten świat zewnętrzny, do którego człowiek sięgnął okiem lub myślą i, ożywiwszy go technieniem swych własnych marzeń i tęsknot, cierpień i radości, pokładł wszędzie piętna swego własnego ducha.

Oczywiście, że góry, kryjące szczyty w obłokach, a w mgłach podnóża, nie mogły nie działać na wyobraźnię ludzką i uważane jako siedlisko bogów i duchów, dały tamsamem pole do różnych urojeń przekraczających zwykły porządek rzeczy. W Starożytności wszystkie świątynie wznoszono po górach, a przedtem jeszcze, kiedy świątyni nawet nie było, już były tam od czasów najpierwotniejszych ołtarze kamienne, na których składano bogom ofiary. Wszak wiemy z historii świętej, że kiedy Abraham miał syna swego Izaaka poświęcić Bogu, to się udał na górę wysoką, gdzie stanął aż po dwóch dniach drogi, i że Sinai była owem miejscem świętem, gdzie Jehowa w całym majestacie swoim ukazał się Mojżeszowi i przez niego nadał prawa swe ludzom. Tak samo i starożytny mędrzec perski Zoroaster,

udał się na kilka lat w góry i przebywał tam w zupełnej samotności na nauce u boga słońca, Ormuzda, o nim napisał sławną swoją księgę religijno-prawodawczą, którą nazwano *Zend-Avesta*, to jest żywe słowo.

A nie było narodu, któryby nie miał swoich gór świętych. Najpierw były te, na których sprawowano religijne obrządku w każdej względnie okolicy, a niejedna z nich używając większego rozgłosu, ściągając na jakiś uroczysty obchód w pewnych dorocznych epokach tłumy ludu z najdalszych prowincji kraju.

Tak, na przykład, podług opisu podróżników wschodnich, mieli Chińczycy, a zapewne i dotąd mają, cztery góry święte, na granicach państwa swego, na cztery strony świata obrócone, kiedy sam cesarz składał zwykle ofiary. W czasie wiosennego porównania, z wielką ceremonią, udawał się w otoczeniu ludu na górę wschodnią i tam prosił bóstwa o pomyślny wzrost zasiewów, w lecie, podczas zwrotu słońca na górę południowej, czynił ofiary, aby wyjednać ciepło potrzebne do płodności ziemi, w czasie jesienno porównania na zachodnią, żeby zwierzęta i wichry, a niepogody szkód nie czyniły, nareszcie w czasie zimowego przesilenia—na górę północną, aby podziękować za dobrodziejstwa doznane i prosić o nowe na rozpoczynającą się nową epokę w przyrodzie. U Hebrajczyków świętym był Karmel, gdzie stał ołtarz; na którym składano ofiary, w tem przekonaniu, iż Bóg tam zstępował we własnej osobie do gaju; a niemniej i u Fenicyan była góra, której sama nazwa wskazuje, iż musiała być świętą, skoro się nazywała *Pniel*, to jest *Oblicze Boże*.

Taksamo działo się przed wieki i w Europie, Rzymianie, nie mówiąc już o wzgórzu kwirynalskim, gdzie czcili Romulusa, jako bożka pod imieniem Quirina, mieli nad Tybrem, obok dzisiejszej Salaryjskiej ulicy, świętą górę, gdzie stał ołtarz Jowisza i gdzie się zarazem znajdował cmentarz mieszkańcóm Rzymu. A jak pisze Grimm, to sławna góra, św. Bernarda w Alpach, jeszcze na początku Średnich Wieków znana była jako *mons Jovis*, to jest góra Jowisza. U narodów germańskich, góry poświęcone czci słońca, nazywały się powszechnie *Belchami* W Alzacyi, koło Mürbach, jest właśnie taki belch o którym krąży podanie, że wśród lata można na szczycie jego widzieć jednocześnie na zachodzie zmrok, a na wschodzie świt. Drugi leży przy gościńcu prowadzącym do Lotaryngii i uderza zdaleka dziwnie spiętrzonemi głazami, a trzeci, znajdujący się w Bryzgowii, należy do trzech najwyższych turni południowej części Czarnego Lasu. Do tegosamego zakresu trzeba zaliczyć górę *Donnersberg* w Prowincyi Nadreńskiej i *Thunnesberg* w Westfalii, widoczne poświęcone niegdyś germańskiemu Donarowi, tak jak znowu *Thorsborg* i *Thorsklint* na Półwyspie Skandynawskim, są niezawodnie zabytkami czci, którą na ich szczytach składać musiano Thorowi, mającemu w skandynawskiej mitologii takiezsamo znaczenie, jak Donar w Germańskiej, a Perkun w litewskiej. Nie ulega też wątpliwości, że we Francyi wszystkie góry noszące nazwę *Montfaucon*, które się tam często spotykają, musiały należeć do świętych gór, skoro sokół, jeden z symbolów słońca, uważany za ptaka świętego, był czczony po wszystkich krajach i u Słowian chowany w gajach bogom poświęconych.

Bo też i Słowianie mieli góry, na których składali ofiary i dopełniali swoich obrządków religijnych, czego oczywistą pamiątką jest w tak zwanych Górnych Łużycach, dawnej siedzibie słowiańskich Wendów, a dzisiejszej zgermanizowanej Saxonii, olbrzymia skała *Czerboboh*, to jest Czarny bóg, o dwie mile leżąca od miasta Budziszyna. Pokazują tam dotąd to miejsce, gdzie zabijano zwierzęta na ofiarę, a tuż obok stok góry zwany *Prasica*, gdzie kapłani wygłaszali wyrocznie ludowi i otwór znajdujący się w skale, który miał być uchem bóstwa ukrytego wewnątrz. Czeski etnograf Sobotka wspomina o podaniu krążącym w okolicy, podług którego Czarny Bóg miał w tem miejscu swój gród warowny, ale, nie mogąc się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy, gdy się chrześcijaństwo zaczęło szerzyć i pozba-
wiło go dawnej władzy, zamienił się wraz z gro-

dem w skałę, a piękna córka jego stała się fiołkiem, który u stóp jej kwitnie raz na sto lat. Ale gdyby ją ktoś znalazł w epoce kwitnienia, zakłęcie skończyłoby się i mógłby dostać ją za zionę wraz ze wszystkimi skarabami jej ojca, podobnież zakłętymi w tem miejscu.

I jak Czarny bóg na Łużycach, tak znowu na Morawach, w pobliżu Rożnowa, znanej stacyi klimatycznej dla piersiowych, jest wspaniała, wyniosła góra *Radhost*, na którą co roku schodzą się w Sierpniu niezliczone tłumy ludu okolicznego na jarmark połączony z różnemi zabawami. Wiadomo, że *Radhost* albo *Radega-t*, to także bożek słowiański, bożek gościnności, czasem z ludzką, czasem zaś ze zwierzęcą przedstawioną głową i oczywiście, że góra nosząca dotąd imię jego musiała być w czasach pogańskich jemu poświęconą. Taksamo u Litwinów była poświęcona *Perkunowi* góra *Rombinus*, leżąca ponad miastem *Ragnit*, w Prusach Wschodnich, niedaleko *Tylży*. Na górze tej stał ołtarz z jednego olbrzymiego głazu, który sam *Perkun* miał przynieść i położyć na tem ulubionem sobie miejscu, z kąd szczęście i bogactwo splayało na cały kraj, mianowicie na młode małżeństwa, czyniące pobożne pielgrzymki ku temu ołtarzowi, na uproszenie błogosławieństwa w domu i w polu.

Można więc powiedzieć, że święte góry były własnością wszystkich krajów i służyły wszędzie do sprawowania obrządków religijnych. Lecz niedość na tem, gdyż znano w Starożytności inne jeszcze góry, mające charakter czysto-mityczny, które istniały li-tylko w wyobraźni narodów. Tam zwykle mieszkali bogowie, tam po śmierci, duchy ludzkie znajdowały przyjemny spoczynek, a pojęcie to zbliżone do chrześcijańskich pojęć o niebie, dowodzi, jak szeroko po świecie w najpierwotniejszych czasach rozpowszechniona już była wiara w nieśmiertelność duszy.

U Indyan, jak to stwierdzili badacze starożytności wschodnich, góra taka cudowna, uważana jako punkt środkowy całego świata, nazywała się *Meru*. Z wnętrza jej wypływało sześć świętych rzek, jak *Ganges*, *Yamuna*, *Saraswati*, *Satudra*, *Marudwidha* i *Dziyikiya*, a na rozległym niezmiernym szczycie były wszystkie ogrody, miasta i pałace bogów. Po stokach zaś piętrzyły się niezliczone domostwa, jedne od drugich piękniejsze, przeznaczone na pośmiertne mieszkania dla sprawiedliwych, którzyby się stali tego godnymi. I było to przekonanie, że góra ta, jak wysoko wznosiła się nad powierzchnią ziemi, tak też głęboko tkwiła w jej wnętrzu.

U Persów podobnież znaczenie przypisywano górze *Al-Bordz*, najwyższej i najstarszej z gór, na której stał tron boga słońca *Ormuzda* i wszyscy bogowie tam przemieszkiwali. I jak pisze *Fredreich*, była tam także pośmiertna siedziba, ludzi cnotliwych, do których duchy ich dostawały się po moście zwanym *Cin-vat*, to jest most *zapłaty*, gdzie bóstwo najwyższe sądziło czyny i wydawało wyroki. Okoliczność tę stwierdza pewna perska modlitwa, w której stoi wyraźnie: „Wierzę w zmartwychwstanie zmarłych, że ciała ich się odrodzą, i że na moście *Cin-vat* szlachetność będzie nagrodzona, a złość ukarana.”

Co się tyczy Greków, to któż nie słyszał i nie wie o ich rozgłośnym *Olimpie*? Mieszkali tam wszyscy ich bogowie, z wyjątkiem morskiego *Poseidona* (czyli *Neptuna*), wraz z podwładnemi bóstwami, który miał swoje pałace w morzu i *Plutona*, bożka piekieł, przesiadującego w podziemiu (*Hadesa*). Nie mniej jednak nawiedza- li i oni *Olimp*. Jak opisuje *Homer* w *Iliadzie*, to *Poseidon* bywał na ogólnych zgromadzeniach bogów, a *Pluton* bawił nawet czas jakiś, gdy raniony od strzały *Heraklesa*, zostawał na

kuracyi u olimpijskiego lekarza *Paeona*. Nie mógł jednak nikt ze śmiertelnych dojrzeć tego przybytku bogów, gdyż gęste obłoki zasłaniały podwoje jego, które *Hory*, to jest godziny, stojąc zawsze na straży, zamykały i odmykały według potrzeby.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Zabawa strzelania do gołębi, powtórzy się na wyścigach d. 21 b. m. Ciekawą-by była lista jej uczestników.

— Budowa kościoła na *Pradze*, zajmuje stale przeszło 200 robotników. Fundamenta są wzniesione przeszło na dwa sążnie wysokości. Zużyto na nie dotąd 600.000 sztuk cegły i 300 beczek cementu. Srebrna kielnia i młotek, któremi posługiwał się przy akcie poświęcenia *J.E.* ksiądz arcybiskup *Popiel*, wykonane zostały w Warszawie przez złotnika p. *Utrackiego*.

— *Mickiewicz* doczekał się pomnika, lepszego niż z kamienia. *Gebethner* i *Wolff* wydali wszystkie jego dzieła cztery tomy, na dobrym papierze i dobrym drukiem, z przedmową *Chmielowskiego*, zz 80 kop.

— *Komitet Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego*, ogłosił konkurs na napisanie libretta do opery w języku polskim. Winno ono wypełnić cały wieczór przedstawienia teatralnego, może być treści poważnej lub komicznej, z wyłączeniem przecież rodzaju operetkowego. Wybór przedmiotu zostawia się woli autora, z zastrzeżeniem wymagań cenzuralnych. Nagrody za dzieła najlepsze rs. 200, z pozostawieniem autorowi praw jego; następnie otrzyma wzmiankę zaszczytną. Termin nadsyłania utworów jest po dzień 1 Grudnia b. r. Prace konkursowe nadsyłać należy do *Towarzystwa Muzycznego* pod zwykłemi warunkami. Na sędziów zaproszono pp.: *Faleńskiego*, *Jenikego*, *Karłowicza*, *Kozieradzkiego*, *Rapackiego*, oraz członków *Komitetu Towarzystwu Muzycznego*: *Hertza*, *Münchheimera*,

Noskowskiego, *Ostrowskiego*, *Ryszczewskiego*, *Skarżyńskiego* i *Wiślickiego*.

— Ogród przy dworze wiejskim, wielce pożyteczne dzieło p. *Edmunda Jankowskiego*, wyszło z druku.

— Kopia obrazu *Matejki*: *Sobieski pod Wiedniem*, wykuta, jak wiemy, w srebrze przez artystę w sztuce cyzelerskiej przez p. *Józefa Nałęcz Hakowskiego*, wystawioną została w salonie *Towarzystwa Sztuk Pięknych*. *P. Hakowski* jest Warszawianinem, urodzonym w r. 1834. Początkowo uczył się sztuki swojego w Warszawie, w zakładzie *Mintera*, *Filleborna* i *Malcza*, następnie za granicą. Pierwszem jego dziełem, już samodzielnie wykonanym za powrotem do kraju, była wykuta w brzoźnie złożonym monstrancya i kielich mszalny do kościoła w *Zaborowie*. Potwórnice wydaliwszy się za granicę, przebywał tam lat kilka, pracując w sztuce swojej w *Wiedniu*, w *Paryżu*, *Lyonie*, w *Monachium* i *Londynie*. Ostatecznie bawił w *Wiedniu*, zajmując się wyłącznie pracami dla skarbcza cesarskiego w *Burgu*. Prace jego, należące do wyższych dzieł sztuki cyzelerskiej, znajdują się w skarbcach i świątyniach wyżej wymienionych miast, między którymi wspomnieć należy złotą monstrancya, ofiarowaną przez miasto *Lyon* papieżowi *Piusowi IX*, i grupę w srebrze, wyobrażającą walczących rycerzy, która jest własnością hr. *Augustowej Potockiej* i znajduje się w pałacu *Wilanowskim*.

— *Festyn Koła Literackiego* w *Krakowie*, który się odbył z celem zebrania funduszu na reprodukcya ostatniego dzieła *Matejki*, dał dochodu 600 zł. reń.

— *Matejko* miał posłuchanie u cesarza *Franciszka Józefa*, dla podziękowania mu za otrzymany medal: *Pro litteris et artibus*.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez *Mrs. Alexander*.

OD WYDAWCY.

W miesiącu Lipcu r. b. w szpaltach „Bluszczu” drukować się zacznie

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

NA KRASNYM DWORZE

z czasów pobytu w Kijowie *Bolesława Śmiałego*

oryginalnie skreślona

przez *Fr. RAWITĘ*.

TREŚĆ: Pójdź do mnie...!, poezya, *J. Nitowskiego*. — Pogawędka — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez *Samuela Smilesa*. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez *M. Febroniusza*. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Piękno u domowego ogniska, przez *Maryę Ilnicką*. — Góry, legenda. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez *Mrs. Alexander*. Przegląd mód. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycya stołu*.